

Cenzorzy i nikczemnicy

7 marca 2014

Wolność słowa istnieje tylko wtedy, gdy stosuje się ją do wypowiedzi, które się potępia. Skutki pogwałcenia wolności słowa mają o wiele dłuższy żywot niż motywy, które je uzasadniają, i rządzący, którzy się go dopuszczają. 25 października 2001 r., w quasi-panicznej atmosferze, panującej w Stanach Zjednoczonych po morderczych zamachach z 11 września, tylko jeden senator, Russell Feingold, zagłosował przeciwko Patriot Act – arsenałowi wolnościobójczych przepisów, które Kongres uchwalił en bloc pod pretekstem walki z terroryzmem. Choć zmienił się prezydent, 13 lat później przepisy te, które miały mieć nadzwyczajny charakter, nadal są w Stanach Zjednoczonych obowiązującym prawem.

Dobrze wiadomo, że ministrowie spraw wewnętrznych troszczą się o ład i bezpieczeństwo, a nie o wolności. Każde zagrożenie zachęca ich do występowania z żądaniem uchwalenia nowych instrumentów represyjnych, które skupia wokół nich zaniepokojoną czy oburzoną część społeczeństwa. W styczniu br. Francja prewencyjnie zakazała kilku zgromadzeń i widowisk uznanych za sprzeczne z „szacunkiem należnym osobie ludzkiej”. Minister spraw wewnętrznych Manuel Valls, piętnując tyrady antysemitki humorysty Dieudonné’a, który jego zdaniem „już nie jest komikiem” i którego „występy nie mają nic wspólnego z działalnością artystyczną”, zagroził: „Nie chcę wykluczyć żadnej możliwości, z zaostreniem prawa włącznie” [1]. Czy jednak demokratyczne państwo może zgodzić się bez wahania na to, aby minister policji oceniał z urzędu, czy ktoś jest komikiem, czy nie, i czy prowadzi działalność artystyczną, niezależnie od tego, czy rzeczywiście mamy do czynienia z komizmem i sztuką, czy też – jak w tym przypadku – faktycznie tak nie jest?

W lipcu 1830 r. król Francji Karol X Burbon zadekretował zawieszenie wolności prasy. Jeden ze zwolenników króla,

uzasadniając przywrócenie zasady cenzury prewencyjnej zamiast zaskarżenia a posteriori do sądu, wyjaśnił: „Gdy stosuje się represję, wyrządza się szkodę; zamiast naprawić ją, kara dodaje do niej skandal wywołany debatą” [2]. Nazajutrz po królewskim dekrete gazety ukazały się jednak bez uprzedniego zezwolenia, dzięki rozmaitym wybiegom. Publiczność rzuciła się na nie, czytała je i komentowała, a rewolucja, która zaraz wybuchła, obaliła reżim Karola X.

Prawie dwa wieki później buntowników, pariasów i nikczemników śledzą na Twitterze dziesiątki tysięcy osób. Youtube pozwala im urządzać wiece nie ruszając się z domu – siedząc przed kamerą u siebie na kanapie. Czy zatem w ślad za zakazem pewnych widowisk i zgromadzeń, uznanych za sprzeczne z „szacunkiem należnym osobie ludzkiej”, będzie się również zakazywać rozpowszechniania takich samych przesłań w sieciach społecznościowych? Z całą pewnością nobilitowałyby to handlarzy prowokacjami, czyniąc z nich „ofiary systemu” i przysparzając wiarygodności najbardziej paranoicznym oskarżeniom, którymi miotają.

Były socjalistyczny minister kultury i edukacji Jack Lang, reagując na najnowsze inicjatywy ministra Vallsa, wyraził zaniepokojenie „głęboką regresją, która zmierza do zaprowadzenia swojego rodzaju reżimu prewencyjnego, a nawet cenzury moralnej uprzedzającej wolność słowa.” Lang wyciągnął z tego następujący – niewątpliwie litościwy – wniosek: „W sprawie tej emocja, gniew i rewolta przeciwko nikczemności powodują zamęt w najświatlejszych nawet umysłach” [3].

Autor: Serge Halimi

Tłumaczenie: Zbigniew M. Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

PRZYPISY

[1] Wywiad M. Vallsa w Aujourd’hui en France, 28 grudnia 2013 r.

[2] J.-N. Jeanneney, Les grandes heures de la presse qui ont fait l'histoire, Paryż, Flammarion 2013, s. 28.

[3] Th. Wieder, „Jack Lang sur l'affaire Dieudonné: ‘La décision du Conseil d'Etat est une profonde régression’”, Le Monde, 13 stycznia 2014 r.